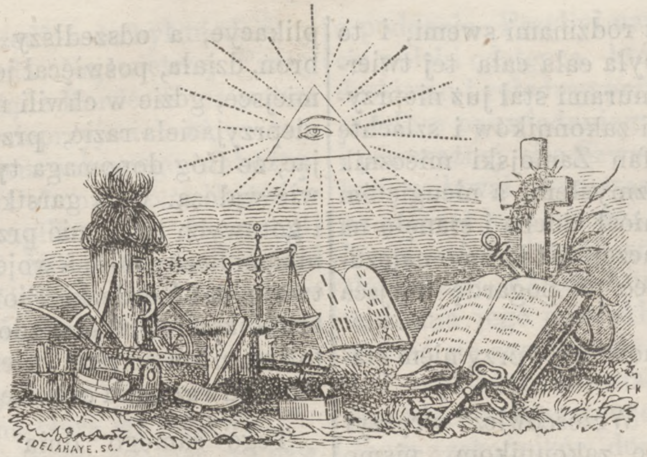
№ 33.

WARSZAWA

17 Sierpnia

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: Historya Częstochowy (dalszy ciąg.)— Len i płótno. — Tęskność na polu, poezya. — Różności: Czytelnie ludowe; Wiadomości z okręgu Szydłowieckiego; Kassy groszowe oszczędności w Warszawie; Śpiewy historyczne; Nauki religijno moralne przeciw nałogowi pijaństwa.

Historya Częstochowy.

(Dalszy ciąg)

—

Ani podejść, ani zdobyć klasztoru nie było łatwo, bo przeorem Paulinów na Jasnej Górze był wtedy Kordecki. Kiedy przychodzi zważyć charakter tego wielkiego człowieka, to uderzają w nim te dwie rzeczy, które duchem każdego, zabierającego się do czynu, rządzić powinny: wielka wiara i ufność w Bogu, co nawet cudu się spodziewa, i wielka rozwaga i roztropność, co na cuda się nie spuszcza, na ludzkie pomoce aię nie ogląda. Ksiądz Kordecki od początku do końca obrony Częstochowy nic nie zaniedbał, wszystko zrobił co było do zrobienia, a zrobił jak najrozważniej, najrozumniej, najlepiej, i zdobywając się na co tylko człowiek zdobyć się może, ufał i wierzył, że w czém człowiek niepodoła, w tém go Bóg zastąpi. Modlił się, pomocy Najświętszej Panny wzywał z ufnością i wiarą, lecz powstawszy z modlitwy, broń opatrywał, żywność obmyślał, o pomoc gdzie mu się zdawało pisał, na szańcach ludzi ustawiał, narady odbywał, układy roztropnie prowadził, tak, jakby wielkie dzieło wyłącznie na nim polegało. Taki to jest obyczaj, taka oznaka wielkich ludzi, bohaterów!

Wrzescowicz ze swoim oddziałem stanął pod Jasną Górą dnia 8 Listopada 1655 r. o godzinie 10éj wieczorem, wielkim hukiem trąb i kotłów budząc uśpionych zakonników. I zaraz wysłał wezwanie zdradliwemi słowy ułożone i chytrą słodyczą okraszone, aby zakonnicy wydali mu twierdzę Jasnogórską, jemu przyjacielowi i katolikowi, nim jenerał Miller wróg i heretyk siłą zdobywać ją przyjdzie. Wysłani do niego od księdza Kordeckiego dwaj zakonnicy, wyrazili zdziwienie, iż przyjaciel niby i pan katolicki do miejsca świętego, któremu sam niegdyś cześć oddawał, zbrojno po nocy i z hałasem przychodzi. Wszescowicz posłom owym układnie jeszcze odpowiedział, o najlepszych swoich zamiarach ich upewniał, tymczasem wśród murów klasztornych zebrała się rada.

Przed napadem szwedzkim szukało schronienia w murach Częstochowskiej twierdzy

z jakie 50 szlachty z rodzinami swemi, i to wraz z zakonnikami była cała cała tej twierdzy załoga. Gdy pod murami stał już nieprzyjaciel, ksiądz Kordecki zakonników i szlachtę zwołał na radę. Stefan Zamojski miecznik Sieradzki szybkim rozmysłem, a nieugiętém postanowieniem podniósł ducha i stanęło na tem: „żeby umierać raczej, niż jarzmo najezdnika przyjąć, i patrzeć na pogardę miejsca świętego i wiary.“

Wziąwszy to postanowienie, przy niem stano i wytrwano.

Dnia 9 Listopada Wrzescowicz wręczył nowym posłom, także zakonnikom, pismo gdzie były warunki, pod jakiemi twierdzę oddać mają. Na to odebrał krótką i stanowczą odpowiedź, że „tego czego od nich chce, nigdy uczynić nie mogą.“ Zawiedziony Wrzeszcowicz odstąpił i ruszył po Millera, chcąc zastępami wojsk przełamać od Boga natchnione postanowienie. Ksiądz Kordecki korzystając z tej krótkiej przerwy, przezornie gotował się do obrony, przed spodziewanym a silniejszym napadem. Szańce obejrzał, budynki na pochyłości góry będące, z ziemią zrównać kazał, by nie ułatwiły wejścia; do króla, do Czarnieckiego pisał o pomoc, i samych wodzów szwedzkich od zniewagi świętego miejsca listownie odwrócić usiłował. Niektórzy też dowódzcy szwedzkiego wojska odradzali Millerowi sromotny ten napad, a kasztelan krakowski Stanisław Warszycki, przysłał dwanaście wielkich dział, które zaraz według rozporządzenia księdza Kordeckiego, umiejętnie na wałach ustawiono. Przygotowany modlitwą i zgromadzeniem wszystkich możliwych środków, czekał Kordecki nieprzyjaciela.

Dnia 17 Listopada przeor z Wielunia przysłał do niego braciszka z wiadomością, że oddział Millera połączywszy się z dwoma innemi oddziałami, prowadząc 19 wielkich dział, zmierza ku Częstochowie, i że niezawodnie na dzień 19 Listopada pod jej murami będzie. Radził przeto ów Wieluński przeor, na układy przystać, a przeciw tak przemożnej sile, nie próbować walki. Rada ta, postanowienia załogi Częstochowskiej i jej wodza księdza Kordeckiego nie zmieniła.

Dnia 18 Listopada ksiądz Kordecki odprawił uroczyste nabożeństwo. Przenajświętszy Sakrament obniósł w processyi, śpiewając suplikacye, a odszedłszy od ołtarza, obejrzał broń, działa, poświęcał je, wyznaczył każdemu miejsce, gdzie w chwili napadu ma stać i zkąd nieprzyjaciela razić, przemówił przypominając, że Bóg dopomaga tym, co w dobrej sprawie walczą. Cała garstka tak uszykowanych i gotowych ludzi, nie przenosiła wraz z zakonnikami liczby 400; a wojenne nad nią dowództwo oddał Kordecki Piotrowi Czarnieckiemu, bratankowi Stefana, zdolnemu do walki, gotowemu na śmierć, wierzącemu, roztropnemu i odważnemu człowiekowi.

Tego samego dnia okazały się wojska szwedzkie i Miller przysłał list wzywający do poddania się. Na ten list ksiądz Kordecki ogniem z owych 12tu nagotowanych dział odpowiedział, a ogień ów był tak dzielny, że pod wieczór Miller przysłał obietnicę, że swój szturm powstrzyma, byleby działa z wałów bić przestały. Kordecki odrzekł że przestanie, gdy jenerał z wojskiem od murów odstąpi. Nie przystał na to Szwed dumny i swego pewny, nowe więc kule działowe przekonały go, że i Kordecki nieodstąpi.

Dnia 19 Miller rozłożył wojska swoje, dalej trochę od wałów, gdzie kościół Śtéj Barbary, w myśli, że ztąd łatwiej będzie mury Jasno-Górskiej fortecy razić. Z wszystkich więc dział i rusznic puścił gromy. Odpowiedziały kule i strzały z wałów fortecnych, a gdy Bóg kierował niemi, wielkie spustoszenie w ludziach czyniły, a nadto zapaliły prochy, które Szwedzi w pobliskim od swego stanowiska gmachu złożyli. Jedna z tych kul, trafiła prosto w piersi zdrajcę Polaka, co Szwedom oddawszy się w służbę, na koniu wśród miasta się uwijał, zuchwałe na klasztor miotając groźby i obelgi. Miller znów wysłał posłów, żądając układów. Kordecki obiecał nazajutrz swoich do obozu szwedzkiego przysłać. Jakoż dnia 20 wysłał ich z przypomnieniem, że król Karol Gustaw ogłosił wyrok obiecujący kościoły i klasztory szanować, przetoż i on dopomina się, żeby kościół i klasztor Częstochowski był w bezpieczeństwie zostawiony. Miller przystał na zawieszenie broni przez noc, lecz przed wieczorem jeszcze wysłaniec jego wręczył Kordeckiemu list od samego Karola Gustawa po niemiecku pisany, a nakazujący Częstochowę wydać.

Gdy dzień 21 nadszedł, a że był niedzielny i pamiątce ofiarowania Najświętszej Panny poświęcony, więc ksiądz Kordecki na potém odłożył odpowiedź nieprzyjacielowi, a sam się zajął odprawieniem solennego nabożeństwa z wystawieniem i obnoszeniem Najświętszego Sakramentu i suplikacjami. Po południu dopiero odpisał Millerowi, że odebrał wprawdzie pismo królewskie, ale że to pismo zapewnie nie jego się tyczy, bo tam mowa o oddaniu Częstochowy, która wcale do zakonników nie należy, a ich klasztor i kościół z dawien dawna Jasną Górą się nazywa.

Rozjątrzony tą odpowiedzią Miller, usypawwszy poprzednio pięć szańców w koło klasztoru, ustawił na nich pięć bateryi. Z trzech od razu, od północy i od południa zagrzmiały działa. Grad kul i granatów sypał się bez ustanku i klasztor wyglądał jakby pokryty jedną ognistą łuną. Ksiądz Kordecki kazał powstrzymać strzały z wałów fortecznych, póki dym nieopadnie, a nieprzyjaciół ku pewniejszym razom nieukaże. Na huk więc i grzmot dział szwedzkich z Jasnej Góry, odpowiadała tylko muzyka kościelna, zebrana pod wierzchołkiem wieży i dźwięki hymnów pobożnych ku czci Najświętszej Panny śpiewanych. Biorąc tę pobożną muzykę za urągowisko, Szwedzi coraz zajadlej mierzyli. Lecz bądź że ich oślepiała zaciekłość, bądź, że obronicielka miejsca tego jawnie okazać chciała swoją opiekę, kule ich odbijały się o mury i nazad wracały w ich szyki, lub górą przenosząc się wpadały do przeciwległych szańców, tam ogień i zniszczenie niosąc. A klasztor zostawał cały, a pod wierzchołkiem wieży grała muzyka kościelna, brzmiały pobożne hymny!

Dwa dni prowadził Miller szturm ognisty, a murów nieosłabił, załogi niezachwiał. Owszem zagrzani nowym duchem, nie poprzestając na samej obronie, umyślili po za mury klasztorne wycieczkę na nieprzyjaciela zrobić.

Piotr Czarniecki wziął 60 ludzi, pomknął się w nocy pod same szańce szwedzkie, w szykach ich rzeź nie małą sprawił, dwóch wyższych oficerów zabił, dwa działa zagwoździł, a łupu zabrawszy nie mało, z tryumfem do klasztoru wrócił.

Miller widząc tedy, że nie tak łatwo zdobyć ten kurnik (tak urągliwie zwali Szwedzi Jasnogórską twierdzę), nie przestał kusić o poddanie. Przybył nasłany od niego szlachcic pulski odstępca, który niby księdzu Kordeckiemu i załodze sprzyjając, niby życzliwie radził, a opowiadaniem o wielkich zasobach i przeważnej sile Szwedów, umysły zaniepokoić usiłował. Tymczasem Miller nie czekając na powrót jego, znowu grad kul posłał i o mało się od nich niedostało wracającemu wysłannikowi. Ksiądz Kordecki widząc, że opowiadania jego przelękły niektórych, że duch chwiać się zaczyna, na nowo słowami zagrzewał, szykował, ustawiał, do każdego wału na dowódzcę wyznaczył jednego ze szlachty, jednego z zakonników, dowództwo zaś nad wszystkimi oddał Ŝtefanowi Zamojskiemu, a księdzu Lasocie polecił na szczycie wieży od czasu do czasu rozpalać głownie, na znak gdyby szła odsiecz jaka, że twierdza się jeszcze nie poddała.

Millera tymczasem obietnicą układów łudził, wysłał do niego co najroztropniejszych i najwytrwalszych zakonników. Dwóch z nich Sebestjana Sawickiego i Marcelego Dobrosza, gdy zamiast spodziewanych układów, przyniešli mu ponowną odpowiedź, że klasztor się poddać nie myśli i nie podda, uwięzić kazał. Ksiądz Kordecki i z tego skorzystał. Zaczął znów rozwlekle rzecz prowadzić o tych dwóch zakonników, mówiąc, że żadnych układów rozpoczynać nie może, póki mu dwaj posłańcy jego wydani nie będą. Coraz bardziej jątrzony tem Miller, na owych dwóch więźniach gniew swój wywierał. Zapowiedział im raz, że jeżeli do jutra układy nie nastąpią, śmierć ich czeka. Czemu do jutra odkładać, powiedzieli obaj, wszak jednaką jak dzisiaj staniemy się ofiarą dla Boga i ojczyzny. To znów na chwilę łagodniejąc, na później dekret odkładał, a ich do własnego stołu zapraszał. Lecz oni z wrogiem wiary i kraju pospołem zasiadać nie chcąc, odrzekli mu: „Że niezgadza się to z dostojnością takiego wodza, aby u jednego z nim stołu zasiadali więźniowie, na szubienicę skazani.“

Widząc tedy Miller że nie poradzi z nimi, puścił ich wolno, a ksiądz Kordecki widząc, że do dalszej zwłoki nie ma pozoru, znów wręcz oświadczył, że twierdzy nie podda.

Rozpoczęto więc ogień wzajemny i znów ze stratą Szwedów, bez znaczniej dla załogi szkody, aż Miller o większe murowe działa

i posiłki do Krakowa posławszy, bezczynnie na nie oczekiwać musiał.

Było to już w początkach Grudnia; w dzień Niepokalanego Poczęcia, dziwnego pokrzepienia na duchu doznała załoga. Wśród przybywających w ten dzień dla nabożeństwa, przyplątał się jakiś Tatar. Choć niewierny, błagał on, żeby mu Przybytek święty oglądać było wolno, a przejęty uwielbieniem, głośno i żarliwie upominał, żeby miejsca tak świętego w ręce najezdnika nie oddawać.

Przedzierano się też do fortecy, mimo niebezpieczeństwa od wojska oblegającego z wiadomościami ukrzepiającemi. Donoszono, że potęga szwedzka słabnie, że król Jan Kazimierz ciągnie z odsieczą. To wszystko utwierdzało załogę w postanowieniu obrony do ostatka.

Dnia 10 Grudnia ozwały się na szańcach szwedzkich wielkie działa z Krakowa sprowadzone. Dwudziesto cztero funtowe kule biły w mury klasztorne. Zakonnicy zajęci wtedy byli solennem nabożeństwem w kaplicy Matki Boskiej, i nabożeństwa tego nie przerwali, choć im kule świstały nad głową, choć waliły się kawały roztrzaskanego muru. Skończywszy zaś modły, pobiegli na wały naprawiać szkody, rozstawiali się na dachach, by ognie gasić, pociski też nieprzyjacielskie, znów niewielkie tylko szkody tak w ludziach jak w murach czyniły.

Codzień prawie powtarzały się zacięte szturmy, codzień garstka owa zakonników i rycerzy zasiliwszy się modlitwą u ołtarza Boga-Rodzicy, szła na wały zginąć lub dalej Jasnej Góry bronić, Millerowi już prochu zabrakło, gdy żądał poddania. Zawsze mu odpowiadał że do jutra się namyśli, a jutro zawsze odmowną dawał odpowiedź.

Wreszcie d. 24 Grudnia w samą wigilją Bożego Narodzenia, ksiądz Kordecki ostatnie a groźne od Millera odebrał wezwanie, lecz odpowiedział, że oddany obchodowi dnia tego, o układach myśleć nie może, przeto po Bożem Narodzeniu dopiero rozmysł swój oznajmi, a na te dwa dni o zawieszenie broni prosi. Tak pisząc ufał, że nowa ta zwłoka wyglądaną odsiecz sprowadzić może, a szturm do Przybytku Bożego, w dzień uroczystego święta, gdyby się nań nieprzyjaciel odważył, ze szkodą tylko jego być musi.

Przeczuwano jednak że odpowiedź taka, srożej jeszcze rozjątrzy szwedzkiego dowódzcę. Nikt się też podjąć nie chciał wręczenia tego listu Millerowi. W wielkiem tedy zafrasowaniu, poczęto się oglądać za sprawnym i odważnym posłańcem. Aż i on posłaniec znalazł się w osobie starej baby. A była to baba szczególnej odwagi i osobliwszego męztwa. Miała nędzny szałas przy przekopie i często z niego wychodziła i bez żadnej trwogi spacerowała sobie po wałach, gdzie kule w około świstały. Podnosiła je, podawała częstochowskim żołnierzom, zbierała kawałki murów odpadłych i nieraz pod sam obóz szwedzki się zapędziła. Ona to, za kawałek chleba podjęła się zanieść list Millerowi. Śmiechu też było nie mało w obozie z tak osobliwego posła. Baba śmiać się z siebie pozwoliła, a swoje zrobiła. Gdy nadeszła noc poprzedzająca Narodzenie Pańskie, w kaplicy rozlegały się kolędowe pieśni, a zakonnicy odśpiewawszy je, rozdawali broń, poświęcali kule, zagrzewali słowami. Ksiądz Kordecki serce mając uświęcone wielkiem powołaniem, tej pamiętnej nocy był wszędzie. Klęczał u żłobu Nowonarodzonego Boga-dziecięcia, zwiedził arsenał, obszedł wały, ustawił czaty, modlił się, przemawiał, szykował, aż ranek zawitał.

Świt różany ukazał szańce pod same mury podsunięte, najeżone armatami; ukazał szyki zbrojne nieprzyjaciół rozjątrzone oporem, upokorzeniem i niecierpliwe nieść śmierć i zagładę. Tymczasem dzwony zwiastujące uroczystość, wzywały na modlitwę. Rycerze, zakonnicy, dzieci, niewiasty, starcy bezsilni co tam schronienia szukali padłszy na kolana, gdy śmierć zewsząd groziła, Bogu z ufnością polecali swe życie. O samem południu rozległ się kuk armat, kule przez podziurawione mury padały w korytarze klasztorne i w dziedzińce. Ksiądz Kordecki i Stefan Zamojski wszędzie obecni, wszędzie czynni, przykładem i słowem podnosili ducha.

W tem nad wieczorem rozległ się huk ogromny, niezwyczajny i przerażający, a po nim grobowa nastąpiła cisza. Przez nieostrożność puszkarza, pękła największa szwedzka maszyna, po której najwięcej obiecywali sobie. Tak ukarał Bóg zuchwałość tych, co dnia świętego, ni miejsca uszanować nie chcieli. Odtąd darmo się już srożyła złość nieprzy-

jacielska, wiedział Kordecki że bezsilny już odtąd będzie zapęd wściekającego się ze złości Millera. Tego też dnia mężna Kostucha jeden jeszcze list jenerałowi szwedzkiemu poniosła, w którym Kordecki oznajmił, że ani teraz, ani nigdy najezdzcom się nie podda, i ojczyznie i krolowi swemu, teraz i nadal wiernym pozostanie.

Na oznajmienie takie, nie mógł już teraz Miller grzmotem popsutych dział odpowiedzieć, musiał w ciszy gniew swój i upokorzenie strawić.

Dzień następny świętego Szczepana, był dniem imienin dzielnego obrońcy Zamojskiego i syna jego także Stefana czyli Szczepana. Pokrzepiona załoga, choć nieprzyjaciel trwał pod murami, wesoło go obchodziła. Całe zgromadzenie zakonne z muzyką od rana udało się do przeora, winszując mu dnia wczorajszego, w którym Bóg zniszczył wrogów szkodliwe zamiary, następnie solenizantom przy odgłosie tejże muzyki radośnej, gorące składało życzenia, a tymczasem puszkarze i piechota z dział i muszkietów grzmiała na wiwaty, a strzały ku uświetnieniu solenizacyi podjęte, wprost w obóz szwedzki mierzono.

Taki wesoły imieninowy obchód dał poznać Millerowi ducha załogi, widział też, że i prochu i kul oblężeni nie mało mają jeszcze, kiedy dla zabawki na wiatr strzelają. Zostawiwszy tedy trzy działa rozerwane, i amunicyi zapas znaczny, tej samej nocy z wojskiem ustąpił, a wtedy to z ocalonego na Jasnej Górze przybytku Maryi, potężna pieśń dziękczynna rozległa się aż do niebios.

Odgłos cudu Boskiej Wszechmocy, a ludzkiej czystej i wytrwałej woli, rozszedł się po całej Polsce. W upadłych sercach, obudził się duch, tym duchem zagrzani, łączyć się poczęli ku obronie kraju. Szlachta pod przewództwem Stefana Czarnieckiego i Jerzego Lubomirskiego zawiązała konfederacyą w Tyszowcach, przysięgła wypędzić Szwedów, sprowadzić króla i dotrzymała przysięgi.

Tracąc jedne po drugich zamki i miasta, Karol Gustaw zmuszony wreszcie był ustąpić z Polski, i jako mówił Starowolski gdy mu groby królów pokazywał: dumny zwycięzca doznał co jest los zmienny, co Wszechmocność Boża i Jan Kazimierz równie jak ów niegdyś Łokietek z tułactwa jeszcze na tron powrócił.

Na zakończenie tych cudownych dziejów, powiemy wam jeszcze, jakim to ślubem dziękował za opiekę Matce Najświętszej Jan Kazimierz po powrocie swoim.

Było to we Lwowie dnia 1 Kwietnia 1656 r. w obec wojska, mnogiego ludu i panów możnych. Król słuchał Mszy świętej odprawionej w katedrze przez papiezkiego posła kardynała Vidoni. Tam w obliczu całego zgromadzenia, obietnice swoje, w tych składał słowach: „Wielka Boga człowieka Matko i Panno Najświętsza! Ja Jan Kazimierz z łaski Syna Twego, Króla królów i Pana mojego, i z łaśki Twojej król Polski, rzucając się pod Twe święte stopy, Ciebie patronkę moją i państw moich za Królowę dziś obieram; siebie i moje Królestwo Polskie, Wielkie Księztwo Litewskie, wojska obojga narodów i lud cały Twojej szczególnej opiece i obronie poruczam; Twojej pomocy i miłosierdzia, w tak opłakanym i do upadku nachylonym stanie królestwa mego, przeciw nieprzyjaciołom świętego kościoła Rzymskiego, najpokorniej błagam. A ponieważ Twojemi wielkiemi dobrodziejstwy przejęty jestem wraz z narodem moim: przeto nową i najgorętszą żądzą służenia Tobie ślubuję. Przyrzekam moim, panów i ludu mojego imieniem, Tobie i Synowi Twemu, Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi, cześć i chwałę swoją po wszystkich stronach Królestwa mojego z całą usilnością rozszerzać. Ślubuję nadto: że kiedy za przeważnem wstawieniem się Twojem, a wielkiem miłosierdziem Syna Twego, otrzymam zwycięztwo nad nieprzyjaciołmi, osobliwie nad Szwedami, będę się starał u stolicy Apostolskiej, aby dzień ten, na podziękowanie Tobie i Twojemu Synowi, wiecznemi czasy był miany za święty i uroczyście obchodzony. Dołożę starania z biskupami mojemi, ażeby to co przyrzekam, spełnionem było i od ludu mojego. Gdy zaś z wielką boleścią serca widzę, że za łzy i ucisk ludzi stanu włościańskiego, zesłane są na królestwo moje przez Syna Twego, sprawiedliwego Sędziego od lat siedmiu kary, jakoto: morowe powietrze, wojny i inne nieszczęścia, przyrzekam więc i ślubuję: po zawarciu pokoju obmyślić ze wszystkiemi stanami skuteczne środki, ażeby od niesprawiedliwych ucis-

ków i uciążliwości, lud mego królestwa uwolniony został. Spraw o najłaskawsza Pani i Królowo! aby jakoś natchnęła mnie, panów koronnych i wszelkie stany do uczynienia tego ślubu: tak do uiszczenie się z niego, racz uprosić łaskę u Twego Syna. Amen.

(Dokończenie nastąpi.)

Len i płótno.

— A gdzie to gosposie idziecie?.. pewno do miasta? zapytał stary organista dwóch kobiet, które drogą śpiesznie podążały.

— A gdzieżby? przy jarmarku. Do miasta idziemy kupić dzieciom kartonu na koszule.

— Kartonu?.. O! do licha; źle, kiedy dzieci polskie w kartonowych, a nie w płóciennych koszulach chodzą!

— A zkądżeż wziąść płótna? Wszakże organista wie, że w całej wsi naszej siejemy lnu tylko tyle, żeby nam na nici wystarczyło.

— To też właśnie źle. Żebyście moje kobiety przed stoma laty powiedziały, że idziecie po karton na koszule, toby się z was naśmieli porządnie. Fe!.. do czego to podobne, żeby w kraju słynnym niegdyś z wyrobów płóciennych, kobiety wiejskie płótna nie miały.

— Albo to my jedne karton kupujemy? Niechno organista idzie do miasta, to zobaczy, co to go się na okolice rozchodzi.

— Ba! wiem ja o tém, ale dla tego właśnie dziwię się, czemu to nie siać więcej lnu i nie robić płótna choć na swoją potrzebę, że by go nie kupować. Dawniej chłop i pańszczyznę odrabiał i czasu miał mało, a płótna nie kupował, bo mu go i dla dzieci kobieta zrobiła ile było potrzeba, a dziś aż wstyd, zamiast płótna, nosimy karton, a jak płótno, to już nigdy krajowe, polskie, tylko kiepskie jakieś, co go tu nam niemcy nazwożą, a za to wywożą pieniędzy co nie miara. Jakoś to się u nas wszystko po trochu do góry nogami przewraca, a to jedynie przez niedbalstwo, bo kiedy mogli dawniej robić tyle płótna, żeby niém cały kraj zarzucić i jeszcze za granicę posélać, to czemużby i dziś nie można tej samej sztuki pokazać?..

— A czy to doprawdy tak dawniej dużo robili płótna?

— Ba!.. jużcić nie na żarty. Dawniej zkąd dobre płótna szły w świat? Z Polski. A czy myślicie że takie były fabryki jak dziś?... Gdzie tam!.. Chłopi sami je tkali, a były to takie pyszne płótna, że i ołtarze niemi przykrywano i najwięksi panowie używali go na koszule. Prawda i to, że i po największych dworach wielkie panie, co miały po kilkadziesiąt wsi, tą robotą się trudniły; dziś tylko gdzie niegdzie jeszcze wieczory zimowe przy krosnach one przepędzają, ale w tém nie ma żadnej słusznej przyczyny, żeby po wiejskich chatach zaprzestać wyrabiać płótno choć na własną potrzebę. Pod len dużo ziemi nie potrzeba, prawda że na złej ziemi wiele go się nie urodzi, ale i chwasty na piaskach nie urosną. Albo to w naszym kraju mało mamy dobrej ziemi?.. Oj!.. jeszczebyśmy jak dawniej, mogli płótno za granicę wywozić, a choćby nie, to przynajmniej pieniądze zostałyby w kraju.

— Łatwo to mówić, ale niechno organista pomyśli sobie, ile to roboty koło lnu!.. A płótno czyż to mało czasu zajmie?

— No, ani słowa! Robota tam jest i niemała, ale w dzisiejszych czasach, kiedy chłop na własnej gospodarce siedzi i na pańszczyznę nie idzie, ma o wiele więcej czasu, więc tylko tyle roboty żeby przybyło, to fraszka!.. Ale za to, coby się płótna nie kupowało, to nie!..

— Żeby to już tam ze lnem, to mniejsza, ale z tém płótniskiem się trudnić, to strasznie zmudna robota.

— A i cóżby z tego było, jakbyśmy siali len, a nie robili płótna?.. Jakby przyszło len sprzedać, a później kupić płótno, tobyśmy jeszcze dopłacili za robotę, a nasza praca około lnu na lichaby się zdała!.. Przeciwnie, jak sobie sami zrobiemy płótno, to pieniądz zostanie w kieszeni, a rzecz się samą robotą opłaci.

— Czy tak organista wyrachował? a czy to czas nie kosztuje?..

— A cóż czas może kosztować w zimie po wieczerzy? Cobyśmy go mieli marnować w karczmie, na pijatykach i hulance, a za tém na grzechu, nie lepiejże siedzieć w chałupie płótno robić, i słuchać jak dzieci na głos czytają różne śliczne rzeczy?.. Co znów do samej uprawy lnu, to ona tak wiele nie wymaga

czasu, choć staranną być powinna, Dawniej musiał gospodarz iść trzy razy w tydzień na pańszczyznę, zmarnował czwarty dzień na pijatyce, a dla tego grunt uprawiony i obsiany być musiał, ani też nie można powiedzieć, żeby tam komu zboże na pniu jesień złapała. Dzisiaj niech jeden dzień w tygodniu poświęci tylko na uprawę lnu, to tak jakby na rok 52 dni, to będzie aż za nadto, i Bóg wie jak może starannie około niego chodzić. A jakby to było przyjemnie ubrać siebie i dzieci w koszule własnej roboty, bez kosztów, w płótno dobre i czyste, bez konopi, bez bawełny, tylko z samego lnu. A jakby to było przyjemnie zanieść do miasta sztuczkę białego płótna i sprzedać zdziwionym kupcom! Wtedy to możnaby im się roześmiać w oczy i powiedzieć: „a wy filuty! myślicie że zawsze wszystko od was będziemy kupować i pieniądze swoje za wasze liche towary oddawać?..“

— A wiecie co Jędrzejko? organista ma szczerą racyę!..

— I mnie się też zdaje, odpowiedziała Jędrzejka, i już chyba ostatni raz kartonu kupię.

— Oj dałby Bóg! zawołał organista. Nasi dziadowie kartonów nie znali, płótna nie kupowali, a wyborne nosili płócienne odzienia. Czemużbyśmy nie mogli tak robić jak i oni?.. Wszakże nam nikt nie przeszkodzi, ani zakaże, żebyśmy takie dobre płótna robili, jak i dziadowie nasi. Żebyśmy tylko chcieli, to nie tylko płótno moglibyśmy w domu robić, ale wiele innych potrzebnych rzeczy. Da Bóg, że się jakoś urządzimy, tylko zasmakujemy w dobrem, poznamy, co to zaoszczędzić krwawo zapracowany grosz przez oględne gospodarstwo, a wtedy poprawi się nasz byt i kraj nasz nie będzie taki ubogi jak dziś, kiedy wszystko u obcych musimy kupować, a nie u swoich polskich braci, co się z nami na jednej rodzili ojczystej ziemi.

— Ja tam zaraz Jędrkowi powiem, żeby mi oddzielił gruntu na len...

— Ba! i jać to samo zrobię! zawołała Pawłowa, co tam będziemy w tym kartonisku chodzić, jakby w jakiém płótnie!..

Tęskność na polu.

Płakać mi się chce,
Czego?.. Pan Bóg wie...
Takie śliczne ziemi łono!
Tak zielono, precz zielono,
A tak smutno mnie!

Tam niby we mgle
Czernią góry, wsie,
Po wąwozach niby pasy
Niebieszczeją bujne lasy,
Płakać mi się chce!

Po błękitnem tle
Chmurka sunie się,
Tak spokojnie płynie, płynie,
Wnet i lasy tamte minie,
Płakać mi się chce!

Płakać mi się chce,
W polu olchy dwie,
Kruk poleciał, nad łąkami,
Powtarzając jęk chwilami,
Czajka waży się.

Płakać mi się chce,
Łąka zniża się,
Kosarz kosę ostrzy w dole,
Jak cień małe tam pacholę
Przez rzeczułkę brnie.

Wolny wietrzyk dmie,
Szmer dokoła mnie—
Poklękują w bruzdach kłosy,
To znów patrzą na niebiosy—
Płakać mi się chce!

Płakać mi się chce—
Chwast niewiasta rwie,
Chyla się i Krakowiaka
Nuci, nuta smętna taka,
Ciężko wstrzymać łzę.

Oko zwilża się—
Biedne serce me!
Czy swą młodość przypomina?
Czy to taka już godzina,
Że się płakać chce?

Różności.

Przed niedawnym czasem w Litwie, było ledwie kilka prywatnych szkółek wiejskich. Pisemka dla ludu, przez wiele lat niewydawano. Dzisiaj, odmie-

nia się wszystko na lepsze. Z różnych okolic Litwy donoszą o udzielaniu początkowych nauk dzieciom włościańskim przez obywateli, ich żony i dzieci wykładanych. Projektów do szkółek, które bodajby najprędzej urzeczywistniły się, snuje się co niemiara. W Wilnie wydano kilka dziełek ludowych, a zamyślają o wydanin innych. W Nowogrodzkiem, przychodzi do skutku myśl stworzenia biblioteki włościańskiej. W Załówce, w powiecie Wołkowyskim, ksiądz Ignacy Kozłowski, acz niema wielkich funduszów, założył biblioteczkę ludową i obudził w ludzie chęć do czytania. Dzisiaj, nie może nastarczyć książek czytającym, którzy wiele z czytania korzystają. W innych okolicach zakładają także biblioteczki ludowe i czytelnie bezpłatne. Pani Leśniowska założyła w Myślenicach w Galicyi, Czytelnię ludową, z której włościanie wiele pożytku odnoszą, a z wdzięcznością odzywają się o założycielce. W Nowym Sączu, także w Galicyi, p. Ludwik Sroczyński otworzył podobną Czytelnię. W Warszawie, książe Tadeusz Lubomirski, otworzył kilka czytelni bezpłatnych. W jednej noszącej nazwę księdza Boduena, w Listopadzie było 624 czytelników, w drugiej na Nowym-Świecie otworzonej 7 Października r. z., było do 1 Stycznia 1862 r., czytelników 256. Biblioteczki i czytelnie, ułatwiając czytanie, odzwyczajają od próżniactwa, marnowania czasu świątecznego i dzielnie przyczyniają się do poprawy moralności, do światła i wykształcenia ludu na pożytecznych w kraju obywateli. Dla tego to, miłujący dobro powszechne ludzie, starają się wszelkiemi sposobami po wsiach i miastach i miasteczkach zakładać takie biblioteczki. W Warszawie jeden z najszanowniejszych obywateli książe T. Lubomirski, za pośrednictwem księgarni Celsa Lewickiego, ułatwia nabywanie książek ludowych w gotowych biblioteczkach, o których już Czytelnia doniosła obszerniej.

— Z pod Szydłowca piszą do Gazety Warszawskiej, że w okręgu Szydłowieckim, urządzono szkółek w dobrach prywatnych 12, w miastach 2, w całym okręgu 21. Urządzających się, to jest takich, gdzie już są fundusze dane przez właścicieli lub ze składek od włościan, i to w bardzo krótkim czasie otworzone zostaną w dobrach prywatnych 4, w dobrach rządowych 3 szkółki, razem 7. Nie urządzonych szkółek, gdzie dotąd na projektach kończy się lub dla braku chętnego zajęcia: jest 23 w tym okręgu, z tych przypada 6 na dobra prywatne, a 17 na dobra rządowe. Postępy robią uczniowie znakomite, chęć do pracy wielka; uczęszczają do szkółki niedzielnej tacy, którzy mają lat 26 i więcej i po kilkoro dzieci. Przykład do naśladowania, kształcą się bowiem na raz dwa pokolenia. Pisma peryodyczne dla ludu prawie w każdym domu prenumerowane, a nawet w wielu miejscach przez samych robotników, książek popularnych nie brakuje. Moralności ludu wiejskiego nie zaniedbują właściciele; karczmy w niedziele do godziny 4éj pozamykane; propinatorów od od 1go Lipca nigdzie nie będzie. Co do oczynszowania, dobra rządowe są już prawie wszystkie urządzone, prywatne w połowie rozmierzone i uregulowane; reszta właścicieli układają się o pomiary i nie czekają na oczynszowanie przymusowe, tylko o ile mogą kończą z włościanami dobrowolną umową.

— Kassy Groszowe Oszczędności przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności zaprowadzone, przyjmują wnioski od 1 do 29 groszy, a po zebraniu większych kwot na żądanie uczestników, tymże zwracają lub odsyłają do Kassy Oszczędności. Czynności te dopełniane są przez członków Towarzystwa w lokalach Ochron tu wyszczególnionych: 1) Przy ulicy Brzozowej nro 200, otwarta w Niedzielę od 7éj do 10éj rano, i w Środy od 6ej do 8ej wieczorem. 2) Przy ulicy Nowe Miasto, nro 323; 3) Przy ulicy Nowolipki ,nro 243. 4) Przy ulicy Ogrodowej, nro 833. 5) Przy ulicy Pańskiej nro 1216, otwarte w każdą Niedziełę od 8ej do 10ej rano. 6) Przy ulicy Nowy-Świat nro 1282, otwarta w Soboty od 6ej do 8ej wieczorem. 7) Przy ulicy Browarnej nro 2731, otwarta w Niedzielę od 9ej do 11ej rano, i w Środy od 5ej do 7ej wieczorem. 8) Przy ulicy Sprzecznej na Pradze nro 280, otwarta w Soboty od 5ej do 7ej wieczorem. 9) Przy ulicy Wolskiej nro 3074, otwarta w Niedzielę od 9ej do 11ej rano. (*Jutrzenka.*)

— Księgarz Wolf wydał nową edycyą Śpiewów Historycznych J. U. Niemcewicza i sprzedaje ją po wszystkich księgarniach po złp. 4. Przez kilka pokoleń uczono się ze Śpiewów po dworach Historyi Ojczystej i zamiłowania ojczystego dobra i pamiątek, teraz i w chatach chłopskich oddać może krajowi te same usługi.

— „Nauki religijno-moralne przeciwko nałogowi pijaństwa,“ wyszły z druku w Warszawie w drukarni Krokoszyńskiego 1862 r. Książeczka ta z niemieckiego przerobiona, dla kapłanów do użytku w nauczaniu kościelném i dla czytelni ludowych przeznaczona.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15.
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 17 Sierpnia 1862 r.